

Pietrzak, Sebastian

Wyjątki z pamiętnika

Obyczaje 18-19, 14-17

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Sebastian
Pietrzak

Wyjutki z pamiętnika

Wiem dobrze, że narodzić się raczej nie pamięta, lecz po moim początku było kilka wydarzeń, które miały wpływ na to, gdzie jestem teraz. Przede wszystkim lekarze przez długi czas nie wiedzieli, że jest ze mną coś nie w porządku. Dopiero po roku wykryto u mnie dziecięce porażenie mózgowie. Wynikiem tego jest moje poruszanie się na wózku i nie do końca sprawna prawa dłoń. Kiedy moja mama dowiedziała się o mojej chorobie, udała się do pani doktor, aby spytać co dalej: jakie ćwiczenia rehabilitacyjne wykonywać, do kogo się zgłosić... Usłyszała propozycję, aby oddać mnie do domu dziecka i „poszaleć”, bo jest jeszcze bardzo młoda. Takie zachowanie niektórych lekarzy naprawdę nie napawa optymizmem. Mama, mimo siedemnastu lat, miała na tyle odwagi, aby wziąć na siebie odpowiedzialność i wychować mnie z pomocą rodziców. Za to należą jej się wielkie podziękowania, bo nie wiadomo, gdzie byłbym teraz, gdyby skorzystała z tak dziwnej oferty.

WŁASNE MIESZKANIE - MAJ 1988

Od urodzenia mieszkałem z mamą albo u babci albo u cioci. Dopiero w 1988 dostaliśmy własne mieszkanie. Tam udało mi się pierwszy raz zaprzyjaźnić z podwórkowymi dzieciakami, bo wcześniej jakoś nie miałem sposobności. U cioci jedynymi dziećmi, z którymi się bawiłem, były jej własne, natomiast u babci mieszkałem na czwartym piętrze i raczej rzadko wychodziłem na dwór. Jak już to z mamą, albo jej siostrą - ciocią Anią.

Potwierdza się opinia, że młodsze dzieci są o wiele bardziej wyrozumiałe i cieplejsze niż te starsze, bo nie miałem żadnych problemów z aklimatyzacją w nowym miejscu. Co więcej, dzieciaki były bardzo pomocne, chciały przychodzić do domu, wspólnie się bawić, zabierać na spacer. Bardzo miło wspominam tamten okres.

LICEUM - WRZESIEŃ 1994

Pójście do szkoły średniej było dla mnie pierwszą gorzką pigułką do przełknięcia, ze względu na stosunek rówieśników do mojej niepełnosprawności. Tak to jest, jeśli w podstawówce ma się pełną akceptację - koledzy, koleżanki odwiedzali mnie cały czas, przychodzili na urodziny, zabierali na wycieczki szkolne. Pani, która uczyła mnie przez pierwsze dwie klasy podstawówki, przyprowadzała na lekcje do mnie (bo przez całą szkołę miałem indywidualne zajęcia w domu) najlepszego ucznia z klasy, abym miał lepszą motywację.

W liceum wszystko wyglądało inaczej. Nie było żadnego zainteresowania ze strony młodzieży z klasy. Może to wina wychowawczynie, bo nie umiała jej zmobilizować w żaden sposób, aby o mnie sobie przypomniła. Zmiana nastąpiła dopiero w trzecim roku, kiedy to w wyniku odejścia wychowawczynie na urlop macierzyński, przyszła na zastępstwo nowa nauczycielka. Jakoś potrafiła sprawić, że moja klasa sobie o mnie przypomniła, nareszcie ktoś wpadł odwiedzić, zostałem zaproszony na połowinki, gdzie właściwie poznałem wszystkich. Pamiętam, że co druga osoba tłumaczyła mi w rozmowie jak to bardzo są niezorganizowani - dało się wyczuć, że mają względem mnie jakies wyrzuty sumienia. Potem oczywiście przychodziły czasami koleżanki, ale odczuwa-

łem, że to było raczej wymuszone przez obietnicę daną nowej wychowawczynie, że będą bardziej poświęcać mi uwagę. Po studniówce oraz po zakończeniu szkoły średniej oczywiście kontakt się zerwał. Wcześniej to i tak ja dzwoniłem i pytałem, czy ktoś mógłby wpaść do mnie. Po pewnym czasie przestałem dzwonić i upominać się o wizyty (tak się czułem), bo trzeba mieć jakiś szacunek do samego siebie. Jeśli komuś zależy, sam się przypomni... - oczywiście nigdy do tego nie doszło. Była to pierwsza poważna lekcja od życia, jak powinno (a raczej nie powinno) postępować się z innymi.

KONIEC LICEUM - 1998

Pod koniec liceum popełniłem największy błąd w moim życiu. Nie podszedłem do matury. Stchórzyłem najwzyczajniej w świecie. A może po prostu zrobiłem to z lenistwa i z nierozwagi. Nie pomoże mi teraz na obronę fakt, że jeden nauczyciel odradzał mi podejście, bo niby się wykończę psychicznie. Prawda jest taka, że szkoła też chyba nie chciała robić sobie z tym problemu.

Ale cóż tego... decyzja była wyłącznie moja i może to było błędem. Trzeba było słuchać przyjaciół... a tak, pozostało mi siedzenie w domu.

Mniej więcej wtedy wziąłem się poważniej za pisanie opowiadań. Moim idolem był Stephen King i próbowałem wzorować się na nim. Oczywiście moje pisanie nie miało w sobie nic z profesjonalizmem, ale samo tworzenie niezwykłych historii sprawiło mi dużo przyjemności. To, że byłem i jestem zwolennikiem horrorów i psychologicznych dreszczowców, miało na to duży wpływ.

Pisałem także wiersze. Początkowo miało to być tylko zajęcie na marginesie, oderwanie od „brutalnych” wizji z opowiadań. Potem natomiast odkryłem, że w pisaniu „wierszy” (w cudzysłowie, bo wtedy to, co pisałem, nie przypominało niczym poezji) mogę się odnaleźć daleko bardziej, niż w pisaniu form fikcyjnych.

WARSZTATY - STYCZEŃ 2000

Niedaleko mojego domu zostały stworzone warsztaty terapii zajęciowej, gdzie uczęszczały osoby niepełnosprawne w ce-



Sebastian w wieku 13 lat.

lu przyuczenia do zawodu. Na początku nie byłem przekonany do tego, żeby tam chodzić, bo zostały one zorganizowane głównie dla osób, które nie mają żadnych perspektyw. Znajduje się tam sześć pracowników: krawiecka, stolarska, ogrodnicza, gospodarstwa domowego, rękodzieła i plastyczna. Z czasem przekonałem się do tego miejsca dzięki przyjaznej, wręcz rodzinnej atmosferze, jaka tam panowała. Polubiłem bardzo instruktorów i jestem tam do dziś.

MATURA - MAJ 2001

Prawie przez cały rok byłem w warsztatach w pracowni stolarskiej, a że co pół roku trzeba się przemieszczać, więc przyszło mi się znaleźć w ogrodniczej, tam też doszło do zmiany instruktorów i pojawiła się nowa Pani o imieniu Agnieszka. Była w moim wieku, więc szybko złapaliśmy bardzo dobry kontakt. Kiedy dowiedziała się o liceum i niepodejściu do matury, od razu zaczęła mnie namawiać i mobilizować do spróbowania w tym roku. Tak długo mnie namawiała, aż uwierzyłem w siebie i zrozumiałem, że to ma sens. Nawet przyniosła mi swoje stare zeszyty i książki do nauki.

Mając trzy miesiące do egzaminów, zacząłem się powolnie uczyć, z tygodnia na tydzień coraz poważniej i sumiennie. Zabawne, że rodzina na początku nie sądziła, że ja na serio deklaruję podejście do matury. Tylko moja kochana babcia od razu zmobilizowała się do działania. Zaczęła dzwonić po moich starych szkołach, dowiadywać się, jakie będą potrzebne dokumenty i jak ta matura w ogóle będzie wyglądać. Zdecydowałem się oprócz polskiego zdawać też pisemną i ustną biologię oraz ustny angielski. Nauczyciele mieli przyjść do domu, pisemne

egzaminy miałem zdawać na komputerze i wydrukować. Ciężka była noc przed pierwszym egzaminem, a to z powodu alergii. Strasznie się dusiłem i o trzeciej rano trzeba było wzywać pogotowie na pomoc. Dopiero po zastrzyku dożylnym kaszel ustąpił i mogłem wreszcie zasnąć.

Spąłem tylko trzy godziny, więc do polskiego przystąpiłem półprzytomny. Z biologią na drugi dzień było już lepiej. Zdałem oba przedmioty na oceny mierne, ale raczej nie miało to dla mnie znaczenia. Liczyło się tylko zaliczenie. Na ustnych czułem się już bardziej rozluźniony, bo wiedziałem, że jeśli mi się nie uda, to zawsze będą poprawki. Jednak zdałem spokojnie, polski i biologię na dostateczny, angielski na dobry. Mogłem w pełni cieszyć się świadectwem dojrzałości. Wielkie podziękowania dla Pani Agnieszki Zblewskiej za kopnięcie mnie w tyłek...

PSYCHOLOGIA - LIPIEC 2001

Z początku chciałem odpuścić sobie studia na rok (sam nie wiem czemu). Babcia mną „potrząsnęła” i powiedziała, że powinienem iść za ciosem, bo potem znów się rozleniwie, a teraz jestem w toku uczenia i nie ma co tego marnować. Zdecydowałem się na psychologię, bo marzyłem o tym kierunku od dzieciństwa (nieodparta potrzeba niesienia pomocy ludziom). Kolejne dwa miesiące przygotowań przede mną. Do tego trzeba było zorganizować dojazd, bo musiałem zdawać w ośrodku Akademii Bydgoskiej. Akurat wydział psychologii był dobrze przystosowany dla niepełnosprawnych, bo wszystko było na parterze i były podjazdy. Nawet winda została specjalnie zamontowana, aby ułatwić poruszanie się. Polski pisałem na komputerze. Miałem szczęście, jeśli chodzi o temat, ponieważ wybrałem „Lalka - jako powieść psychologiczna”. Akurat dzień wcześniej przeczytałem poradnik, jak powinno podejść się do „Lalki” na egzaminie wstępnym... Zatem zdobyłem trzydzieści punktów na trzydzieści możliwych. Pisemny angielski też zdałem, choć nie poszedł mi tak dobrze, jakbym sobie tego życzył. Zawiodłem niestety na ustnej biologii. Tego się najbardziej obawiałem, być tak blisko a jednak za daleko. Spowodowała to czarna dziura w pamięci w czasie odpowiedzi. Rozwiązania przypominały mi się dopiero w drodze powrotnej do domu. Byłem bardzo wściekły z tego powodu. Radzę nigdy się nie uczyć do szóstej rano i spać tylko godzinę przed egzaminem, bo tak przysły moje marzenia o studiowaniu psychologii.

PRZEPROWADZKA - KWIECIEŃ 2002

Mama zawsze chciała mieć większe mieszkanie i w końcu nadarzyła się okazja,

aby to spełnić. Ja za bardzo nie byłem za tym, przywiązany do miejsca, gdzie żyłem przeszło trzynaście lat, znając praktycznie od dzieciństwa wszystkich na podwórku. Trudno... zgodziłem się i mieszkamy teraz trzy przystanki dalej. Nie ma tu podwórka, więc rzadko stoję przed klatką, jak to robiłem na starym mieszkaniu. Strasznie ciężko było mi się przystosować, żadnych znajomych, miejsc, które znam, ale udało mi się jakoś zaaklimatyzować. Moja największa przyjaciółka z dzieciństwa, która mieszkała cztery piętra nade mną, wciąż mnie odwiedza, więc nie jest tak źle.

INTERNET - PAŹDZIERNIK 2002

Mieszkanie tutaj zostało mi osłodzone przez szybkie podłączenie do sieci i możliwość komunikowania się z ludźmi za pomocą Internetu. Świat jest teraz o wiele bliżej i nigdy nie jestem sam. Później przyszedł pomysł, aby spróbować swoich sił na różnych portalach poetyckich, ponieważ nadal często pisywałem do szuflady. Tutaj spotkała mnie sroga krytyka, taka, która niejednego zniechęciłaby do pisania dalej. Byłbym zapatrzonym w siebie megalomanem, gdybym tak zrobił. Powiem więcej... te ostre, czasami wręcz brutalne oceny, pomogły mi stać się bardziej dojrzałym w pisaniu.

Oto wiersz napisany u początków:

*W CHWILI CISZY
Ja... spędzam czasami,
Trochę chwil z moimi myślami,
Mówią wtedy mi,
Co dalej robić.
Wtedy właśnie szukamy,
Tego najlepszego wyjścia,
Między różnymi drzwiami,
Zanim przyjdzie zachód słońca.
Nieważne jak bardzo sytuacja,
Może być przegrana,
To moja głowa,
Nie zostanie sama.
Ale zdarza się że milczą,
Bez żadnego ostrzeżenia,
Pozostawiają z ciszą,
Doprowadzając mnie do szaleństwa.
Muszę wtedy radzić sobie samotnie,
Próbuję jakoś przeżyć,
Bo wiem, że nawet jeśli nie jest spokojnie,
To każdy przeżyty problem uczyni
mnie silniejszym.*

Porównuję go z napisanym niedawno:

*BYŁEŚ
Odgłosy głuchych ludzi
życia które przecieka
i z bukiem szklanego naczynia
uderza o kamień
sny o niekończącej się opowieści
płynące w falach mózgowych
skończą się zanim zrozumiesz
że byłeś.*

Od razu widać różnice stylów. Oczywiście nadal są negatywne uwagi co do moich wierszy, ale już nie takie dotkliwe jak na początku. Poza tym z każdej krytyki biorę zawsze coś wartościowego.

Internet jest wielką komnatą możliwości, tylko trzeba wiedzieć, jak go wykorzystać.

ANGLISTYKA - LIPIEC 2003

Pomysł, aby startować tym razem na anglistykę wyszedł z tego, że miałem dość nierobienia nic. Wiedziałem, że muszę iść do przodu, bo inaczej będę się cofał. A dlaczego ten kierunek? Ponieważ dawał najwięcej możliwości pracy bez wychodzenia z domu, z pomocą Internetu.

Pamiętam, że mama była bardzo przeciwna. Bała się, kto będzie mnie dowoził, jak zdam. Nie mogła przecież zwołać się z pracy, aby mnie dowozić i miałem przez to nerwową sytuację w domu. A więc wszystko musiałem załatwiać sam lub z pomocą przyjaciół z warsztatów. Dzwonić do akademii, prosić o komputer, jechać do lekarza po zaświadczenie. Potężnym szokiem było i jest dla mnie nadal brak na tym wydziale wszelkich przystosowań dla niepełnosprawnych. Byłem pierwszym na wózku, który się porwał, aby tam studiować. Po pierwsze, wydział znajdował się na trzecim piętrze, po drugie, nie było żadnych podjazdów i po ostatnie, nie mogli dla mnie, albo tylko dla mnie, przenieść egzaminu na niższe piętro. Byłem trochę tym podłamany, ale na szczęście kierowniczka warsztatów zaoferowała pomoc. W dniu egzaminu miałem pojechać na miejsce z kierowcą warsztatowym i instruktorem, którzy mnie wniosą do góry i poczekają do końca. I tak też się stało. Egzaminu niestety nie zdałem, test o wiele trudniejszy niż te, które ćwiczyłem na próbnych testach z pierwszego certyfikatu. Mimo tego warto było, bo zostaje świadomość, że przez te ostatnie kilka miesięcy miałem jakiś mocno postawiony cel, że nie było lenistwa tylko nauka, która i tak mi się w przyszłości przyda. Zamierzałem spróbować za rok ponownie. Teraz już wiedziałem, na co być przygotowanym.

NOWE ALTERNATYWY NA PRZYSZŁOŚĆ - CZERWIEC 2003

Moja mama nie była nigdy zbyt szczęśliwa w małżeństwie, bo ojczym nigdy jej nie doceniał, jak na to zasługiwała, co powodowało wiele kłótni i spięć od kilkunastu lat. Zresztą z moim ojcem też jej się nie udało. Była jeszcze młodzieńka i przeżyła tak zwaną szkolną miłość, a ślub wzięli tylko z mojego powodu. Ojciec okazał się bardzo nieodpowiedzialny i do tego alkoholikiem. Po paru latach rozwiedli się. Dopiero niedawno poznała kogoś, w kim

się bezgranicznie i wzajemnością zakochała. Oczywiście, było to początkiem dużych komplikacji, rozwód trwał kilka miesięcy, aż do grudnia, i mimo tego musieliśmy wszyscy mieszkać pod jednym dachem (dobrze, że mamy trzy pokoje). Uważam, że było warto przechodzić takie katusze, aby zobaczyć mamę wreszcie szczęśliwą i widzieć, że ktoś się w końcu o nią troszczy i dba. Pan Adam okazał się niezwykle przyjaznym człowiekiem i przede wszystkim kochał bycie z rodziną... kochał nas.

REKOLEKCJE - LIPIEC 2003

Moi znajomi zaproponowali mi wyjazd do Łaźniewa, jest to miejscowość pod Warszawą. Tam odbywają się co roku rekolekcje dla ludzi niepełnosprawnych. Pomyślałem, że to wcale nie będzie zły pomysł po oblanej anglistyce, aby się wyciszyć. Choć czułem w głębi, że mi się za bardzo nie spodoba, bo nigdy nie byłem bardzo religijny. Pierwsze dwa, trzy dni przeraziły mnie: chodzenie do łóżek o dwudziestej pierwszej, wstawanie przed ósmą, następnie o dziewiątej modlitwy, o jedenastej koronki, dwunasta - anioł pański, dwunasta trzydzieści obiad, o czternastej kolejne pieśni religijne. Reszty już nie pamiętam, ale wiem, że o osiemnastej była zawsze msza i przed kolacją też było jakieś pożegnanie dnia czymś w rodzaju pieśni. Więc to było dla mnie na początku szokiem tak wielkim, że po tygodniu chciałem już wracać. Lecz kiedy zaprzyjaźniłem się z większością wolontariuszy i przekonałem się, jacy to super ludzie, to cała wymieniona reszta już mi nie przeszkadzała. Żalowałem nawet, że trzeba już po dziesięciu dniach wyjeżdżać. Z niektórymi ludźmi stamtąd nadal utrzymuję Internetowo kontakt. Wierzę, że jeszcze ich spotkam.

PRZEŁOM UCZUCIOWY - PAŹDZIERNIK 2003

Nigdy nie miałem szczęścia, jeśli chodzi o wybranki serca. Zakochiwałem się i wzrastałem w zakochaniu miesiącami i tyle samo czasu potrzebowałem, aby się wyleczyć. I tak to trwało, aż do niedawna, kiedy (znów dzięki Internetowi) poznałem niesamowicie ciepłą dziewczynę o imieniu Urszula. Pomyśleć, że mógłbym nigdy jej nie spotkać, gdybym tego jednego wieczoru poszedł trochę wcześniej spać niż zwykle. Bo właśnie tego wieczoru ona do mnie zagadała. Potem już rozmawialiśmy codziennie, tygodniami i zauważyliśmy, że dużo nas łączy. Potrafilimy śmiać się z siebie nawzajem i sprawiało nam to radość. Mamę podobne poczucie humoru, a to ma duże znaczenie dla udanego związku. Ula bezproblemowo zaakceptowała moją niepełnosprawność, czuła się przy mnie swo-

bodnie i ja tak samo przy niej. Jedynym problemem jest odległość, ja mieszkam w Bydgoszczy, a Urszula pod Płockiem - to przeszło sto kilometrów różnicy. Widujemy się raz na 2 miesiące i próbujemy być silni. Nieważne, co będzie potem.

PODCIĘCIE SKRZYDEŁ - MAJ 2004

Wraz z nowym rokiem miałem już cel postawiony, spróbować jeszcze raz na anglistykę, zacząłem się już psychicznie przygotowywać w marcu. Lecz wtedy właśnie zaczęły się kłopoty zdrowotne Pana Adama. Na początku nawet nie mówił o jakimkolwiek bólu, bo nie był z niego człowiek, który lubił się nad sobą użalać. Zaciskał zęby i pracował dalej, uwielbiał pracę, a zajmował się remontami i wszystkim, co z tym związane. Gdy ból był już nie do zniesienia, nie dawał spać po nocach, poszedł w końcu do lekarza i okazało się, że ma kamienie na nerkach. Przeprowadzono operację, po której całkowicie osłabł. Były podejrzenia o raka, a jedyne, co nam zostało, to czekać na kolejną operację i mieć nadzieję, że nie będzie przerzutów. Jednak spełniły się najgorsze oczekiwania, nie było czego ratować, bo choroba rozprzestrzeniła się bardzo szybko. Pan Adam nie powrócił już ze szpitala, umarł kilka tygodni później... a my z mamą znowu zostaliśmy sami. Marne to pocieszenie, że chociaż rok byliśmy szczęśliwi, zawsze pozostaje niedosyt, a przede wszystkim ogromny żal z pytaniem: dlaczego to zawsze nam się przytrafia?

Nie było sensu dalej ciągnąć nauki do egzaminu. Mama była tak załamana, że nie mogła dojechać do siebie przez długi czas, myślę, że nawet teraz jeszcze nie doszła do siebie. Po drugie i tak byśmy sobie we dwójkę nie poradziła, nawet jeśli bym zdał. Zresztą po tej tragicznej śmierci ja też straciłem ochotę do wszystkiego - nasze skrzydła, które napędzał Pan Adam, zostały podcięte.

TERAŹNIEJSZOŚĆ

Myślę, że dzięki byciu razem, trzymamy się jakoś i nie pozwalamy smutkowi długo gościć na naszych twarzach. Mogę na razie wybić sobie z głowy studia, ale nie jest tak źle, zawsze ktoś ma gorzej, więc muszę docenić to, co mam. A mam naprawdę dużo, bo kochającą mamę i wspaniałą dziewczynę przy boku. Mimo, że rzadko się z nią widzę, to wiem, że myśłami zawsze jest blisko.

Moje plany na przyszłość są takie, aby pozgłaszać się do jakichś pism, gazet z propozycją pisania dla nich recenzji muzycznych lub filmowych. To nie jest głupi pomysł - muzyka i film to dwie główne rzywki w moim życiu.

Będę próbował, bo inaczej przepadnę.